

Halina Frąckowiak

ZBIERAM MIŁOŚĆ CAŁE ŻYCIE

Zdjęcia KRZYSZTOF OPALIŃSKI

„Nonsensem i antysenną dywersją jest puszczanie Haliny Frąckowiak na dobranoc, bo któż zaśnie, słuchając jej niezwykłego głosu”, mówił Stanisław Dygat. Wielka gwiazda polskiej sceny muzycznej. Charyzmatyczna, awangardowa, piękna. Na scenie występuje... 60 lat! „Idę dalej” – to jej motto. Teraz zabrała Beatę Nowicką w podróż po swoim niezwykłym życiu.



Halina Frąckowiak





POPRIEDZINA I TA ROZKŁADOWA. GOLF MARELLA. ŚRODZIE LUBIANA COMIT. SZAL. WODLI RICH

Urodziła się Pani dwa razy!

Tak. Drugi raz również 10 kwietnia, ale w 1963 roku, także w Poznaniu, a więc mam dopiero 61 lat (śmiech). To żart, ale rzeczywiście moje życie tak bardzo zawiera się w muzyce, śpiewaniu, w sztuce, że nawet przez moment nie pomyślałam, że mogłabym funkcjonować zawodowo w innych sferach. Miałam artystyczną duszę: rysowałam, pisałam wiersze, śpiewałam, uczyłam się tekstów, bo marzyłam, że będę aktorką. Na pierwszym przesłuchaniu znalazłam się ad hoc. Przyszłam z koleżanką na koncert, choć nie miałyśmy ani biletów, ani pieniędzy. Koleżanka wymyśliła, że nas wpuszczą, jeśli powie, że ja biorę udział w konkursie „Szukamy młodych talentów”. Postawiona przed faktem, nie uciekłam. Jako grzeczna dziewczynka weszłam na scenę i zaśpiewałam piosenkę Ludmiły Jakubczak. Pamiętam, że byłam ubrana w granatową spódniczkę i białą bluzeczkę. Tamtego dnia kończyłam 16 lat.

– Jaka była ta 16-letnia Halina?

Onieśmielona. Grzeczna. Mama zawsze się o mnie martwiła. Kiedyś mi powiedziała: „Byłaś taka ci-chutka. Nigdy nie sądziłam, że tak świetnie poradzisz sobie w życiu”. A ja tylko miałam otwarte serce. Przyjmowałam to, co przynosił mi los, jeśli było dobre i piękne. Dzisiaj rano zadzwonił do mnie Józek Skrzek i mówi: „Chciałem ci złożyć życzenia” – i zaczyna grać ▷

**„Kiedy śpiewam, czasami
słyszę głos mamy.
Na pewno po niej mam
pokorę. I ogromną pogodę
ducha. Kiedy urodził się mój
syn, mama przeprowadziła
się do nas. Była przy nim, gdy
ja wyjeżdżałam na koncerty”.**



„Narodziny”, utwór dedykowany jego córce z płyty „Pamiętnik Karoliny”. W muzyce Józka zakochałam się od pierwszej chwili. Pięćdziesiąt lat temu wyprzedzała epokę, była niesamowita. Kiedy skomponował dla mnie „Brzegi łagodne”, chciałam już tylko śpiewać i śpiewać. Nagraliśmy dwie z najważniejszych dla mnie płyt: z SBB album „Geira”, a z samym Józkiem – „Ogród Luizy”. Gdy zmarła mama, poprosiłam, żeby przyjechał na pogrzeb i zagrał na mszy w katedrze na organach. Chciałam pożegnać mamę „Wołaniem”. „Usłysz, Panie, głos mój, kiedy wołam...”. Z „Wołaniem” pojechaliśmy do Watykanu na 25-lecie pontyfikatu Jana Pawła II. Wcześniej razem skomponowaliśmy muzykę do wiersza Karola Wojtyły „Pieśń o słońcu niewyczerpanym”, fragment XIII. Papież już się źle czuł, nie było wiadomo, czy przybędzie na koncert. Kiedy zaczęłam śpiewać „Pieśń...”, otworzyły się drzwi i ujrzałam Ojca Świętego. To była radość aż po łzy. Nigdy tego nie zapomnę. Gdy dzisiaj Józek zagrał mi przez telefon „Narodziny”, nie mogłam słowa z siebie wydusić.

– Piękne życzenia!

Najpiękniejsze. Mam jeszcze inne najpiękniejsze, od syna.

– Dodam, że w marcu album „Geira” ukazał się w odświeżonej formie. Po 47 latach wciąż brzmi niezwykle. Zresztą Jerzy Waldorff, widząc Panią pierwszy raz na scenie, napisał: „Druga Demarczyk”. Czym śpiewanie jest dla Pani dzisiaj?

Tym samym co wtedy. Wszystkim. Pasją i misją. Śpiewałam dlatego, że kochałam muzykę, a nie dla popularności. W piosence wyrażam to, jaka jestem. Mam ulubione powiedzenie: „Coś, co się naprawdę zaczyna, nigdy się nie kończy”. Nie wyobrażam sobie dnia, w którym powiem: koniec... „Idę dalej” – to moje motto. Każdy koncert staram się zagrać, jakby miał to być ostatni koncert w moim życiu. Cieszę się, że ludzie wciąż słuchają moich utworów.

– Słuchają i kochają Halinę Frąckowiak za osobowość, charyzme. Pani rodzice ▸



„Myślę, że tato Filipa wiedział doskonale, że cały czas balansuje na granicy, pisał do paryskiej »Kultury«, pracował dla Radia Wolna Europa, wiedział, jakie grożą za to konsekwencje. Nigdy mi nie powiedział wprost, czym się zajmuje, ale intuicyjnie czułam, że coś się tam jeszcze kryje”.

rozstali się, kiedy była Pani dzieckiem. Kto Panią ukształtował?

Gdy byłam dzieckiem, bardzo mi brakowało ojca. Pamiętam, że powtarzałam jak mantrę: „Tatusi, wróć. Proszę cię, wróć”. To było życie dorosłych ludzi, tatuś miał swoje powody, dla których nas opuścił. Mówił: „Dorośniesz, ja ci to wszystko wytłumaczę”. Nigdy mi nie wytłumaczył. Mama zmarła wcześniej, tata przyjechał na jej pogrzeb. Starszy, przygarbiony pan. Płakał jak dziecko. Jednak nigdy nie miałam deficytu miłości, tylko obecności. Zawsze czułam się kochana, nie tylko przez mamę, przez tatę też. Myślę, że gdyby tatuś był z nami na co dzień, pokazałby mi, jak dziewczynka może być silna. A przecież jestem silna.

– No właśnie!

Miałam bardzo silną mamę. Była cudowna: dobra, prostolinijna, naturalna, kochająca. To ona dawała nam ciepło. W domu najważniejszy był ogromny stół. To mi pozostało. Nie chodzi o jedzenie, tylko o spotkania rodzinne: imieniny, urodziny, święta, każda okazja jest dobra, żeby razem spędzić parę chwil. Rano wstaję, patrzę do lustra i widzę, że staję się coraz bardziej podobna do mamy. Mówię: „Dzień dobry, mamusiu”. To jest moje powitanie dnia. Jestem z nią cały czas, wierzę, że ona ze mną także. A kto miał większy wpływ na moją osobowość? Myślę, że oboje. Mama również pięknie śpiewała. Kiedy sama śpiewam, czasami słyszę jej głos. Na pewno po niej mam pokorę. I ogromną pogodę ducha. Kiedy urodził się mój syn, mama przeprowadziła się do nas. Była przy nim, gdy ja wyjeżdżałam na koncerty. Była cudowną babcią. Kiedy Filip poszedł do szkoły sportowej, w domu trenowała z nim szermierkę. Miała osiemdziesiąt parę lat! (śmiech). Mój syn był bardzo radosnym, wrażliwym i dobrym dzieckiem. Ufam mu bezgranicznie.

– Stworzyła mu Pani bezpieczne dzieciństwo. Kiedy Pani była małą dziewczynką, wybuchł poznański Czerwiec.

Do dziś pamiętam tamtą aurę zagrożenia. Wszędzie czołgi, niebo białe od strzałów. Wielkie manifestacje, które szły od strony zakładów Cegielskiego. Mój brat, starszy ode mnie dwa i pół roku, z kolegami chodził po mieście z transparentami. Tata brał udział w demonstracjach. Zginął mój sąsiad z ulicy Rogalińskiego, młody chłopak. Przeszyła go kula. Balam się wyjść na ulicę, bo nie wiedziałam, czy nie będą zabijali. Ale najbardziej obawiałam się o mamę, która chodziła do pracy, przemyskując chyłkiem pod obstrzałem. Stałam w naszej kamienicy na klatce schodowej, drżąc, żeby mama bezpiecznie wróciła do domu. Z okazji 60-lecia twórczości zagrałam koncert w Poznaniu, gdzie dostałam Medal „Labor Omnia Vincit” od Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego, a dyplom wręczała mi cudowna profesor Halina Zgółkowska. To jest moje życie. Przynosiło mi doświadczenia wymagające ode mnie zrozumienia i opowiedzenia się, gdzie jestem i co jest dla mnie ważne.

– Drugi raz polityka brutalnie wkradła się w Pani życie w 1985 roku. Józef Szaniawski, ojciec Filipa, „ostatni więzień Peeleru”, został aresztowany za współpracę z Radziem Wolna Europa. Prokurator zażądał 15 lat więzienia.

Ta historia miała największe konsekwencje dla mojego życia i poczucia bezpieczeństwa. Myślę, że tato Filipa wiedział doskonale, że cały czas balansuje na granicy, pisał do paryskiej „Kultury”, pracował dla Radia Wolna Europa, wiedział, jakie grożą za to konsekwencje. Nigdy mi nie powiedział wprost, czym się zajmuje, ale intuicyjnie czułam, że coś się tam jeszcze kryje. W tamtych dniach byliśmy razem z synkiem na festiwalu w Opolu. Śpiewałam „Papierowy księżyc”. Józef powiedział, że musi na chwilę pojechać do Warszawy i do nas wróci. Nie wrócił. Dostałam kartkę na recepcji w hotelu, że mam przyjechać z Filipkiem, zostawił mi zresztą samochód. W międzyczasie Józef został już aresztowany. Zawalił

się mój świat. Nie chodzi o mnie – kobietę, tylko o mnie – matkę. Staralam się uchronić syna, ale nie do końca mi się udało. Bezbronne dziecko doświadczyło czegoś, czego nie powinno. Nie ma na to wytłumaczenia. Związki między mężczyzną a kobietą nie są łatwe. Mój był szczególny.

– Józef Szaniawski wyszedł po pięciu latach z więzienia. Dwa miesiące później w drodze na koncert przeżyła Pani wypadek. Groziła Pani amputacją nogi, a jednak się Pani nie poddała.

Nie miałam wyjścia. Po pierwsze, jestem osobą wierzącą, po drugie, miałam dziecko i mamę, byłam za nich odpowiedzialna. Pamiętam taką scenę – już po wypadku leżałam w szpitalu, pan doktor wyjmował mi szkieletko po szkieletku, bo miałam zmasakrowaną twarz, rozszarpane czoło. Alusia Majewska, która razem ze mną jechała samochodem – szczęśliwie bez takich obrażeń – leżała po przekątnej pokoju i ja mówię: „Alusiu, masz lusterko?”, a ona z takim smutnym spokojem odpowiedziała: „Lepiej nie patrz”. Po dwóch dniach pielęgniarka nałożyła mi tampon na czoło, zwróciłam się do niej: „Siostrzo, mogę poprosić o lusterko?”. Podała mi, patrzę, a tam nos po skosie, usta rozzerwane, zmasakrowana skóra w kolorze śliwki. Widok był tak potworny, że aż się uśmiechnęłam: Nie ma się czym przejmować, bo to po prostu nie jestem ja.

– Jakis rodzaj samoobrony.

Pewnie tak. Nie miałam operacji plastycznej, wszystko zaczęło się ładnie zblażniać. Moi przyjaciele: Włodek Korcz, Zdzisław Sośnica z mężem i życzliwi ludzie z Ministerstwa Kultury zadbali o to, żeby mnie przywieziono do szpitala do Warszawy, bo groziła mi amputacja nogi. Uratował mi ją pan profesor Tylman ze szpitala na Szaserów. Kiedy wychodziłam do domu, powiedział: „Pani Halino, jestem szczęśliwy, myślałam, że wyjdzie pani bez jednej nogi”. Wcześniej mi tego nie mówił. Miałam wokół mnóstwo aniołów, które mnie wspierały, pomagały.

Po wypadku próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie: O co tu chodzi? Doszłam do wniosku, że musiałam tyle doświadczyć, żeby rozwijać samoświadomość. Od dziecka byłam przepelniona duchem, więc myślę, że te wyzwania były moim przeznaczeniem, żebym zrozumiała wreszcie, czym jest moje życie i jak ma wyglądać.

– Dlatego zdecydowała się Pani na studia psychologiczne?

Psychologia dała mi więcej poczucia własnego ja. Wierzę w siłę osobowości. Wydaje mi się, że jestem taka sama jak wtedy, gdy się urodziłam, a równocześnie, że bardzo się rozwijam. Doświadczenia nas uwalniają i tym samym czynią nas bardziej uważnymi, a więc mądrzejszymi.

– Wiara jest dla Pani ważna?

Od dziecka. Mama mi ją zaszczerpiła. Gdyby nie moja wiara, nie miałabym po co wychodzić na scenę. Bez wiary muzyka jest tylko biznesem, modą.

– Czuję Pani żal, że syn poszedł własną drogą?

Kiedy był malutki, leżeliśmy razem na łóżku, ja uczyłam się piosenek, a on słuchał. Do snu śpiewałam mu „Summertime” w wersji Elli Fitzgerald. Filip świetnie śpiewa. Mówiłam: „Masz taki piękny głos”, a on: „Mamusi, to jest spojrzenie matki!”. Jego muzyczna edukacja trwała cztery lata, potem wybrał szkołę sportową. Szanuję jego wybór. Jest bardzo muzyczny, z dziećmi, Zosią i Frankiem, chodzi do filharmonii, kocha muzykę. Kiedyś powiedział: „Mamo, ty masz coś takiego, że wychodzisz na scenę i jesteś tam całą sobą”. On jest bardziej onieśmielony. Cieszy mnie, że realizuje swoje pasje i sam dokonuje zawodowych wyborów. Psychicznie i intelektualnie jest podobny do swojego ojca. Podziwiałam Józia za ogromną wiedzę, ale on też kochał poezję, muzykę. Od tego zaczęła się miłość. Filip to odziedziczył z jednej i drugiej strony. Stworzył wyjątkowe Muzeum Zimnej Wojny. Nowoczesne, ważne, ciekawe, świetnie zorganizowane. Zapraszam

zwłaszcza młodych ludzi. Mamy przepiękną historię, jesteśmy pięknym narodem. Powinniśmy pamiętać, skąd przyszliśmy, kim jesteśmy...

– ...i dokąd idziemy. Ale tego nie wimy. Po latach poszukiwań znalazła Pani swoje nowe miejsce na ziemi?

W rodzinnym Poznaniu, na tyłach naszej kamienicy rosła w ogrodzie czereśnia. Latem miała wielkie owoce w kształcie serca, najsmaczniejsze, jakie jadalam. W niedzielny poranek przez otwarte okno wpadały do kuchni promienie słońca, a mnie budził śpiew albo pogwizdywanie mamy. Mam te chwile w sercu i pamięci. Później miałam swój dom na Zaciszu w Warszawie. Dom, który żartobliwie nazywałam „lepianką”. Domki zbudowano dla robotników, a z jakiegoś powodu

zamieszkali w nich artyści i inteligencja: Łucja Prus, Ala Majewska, cudowna Kasia Budzyńska, Andrzej Wolf, tak powstał wielki zbiór przyjaciół. Ten dom oczywiście się zmieniał. Wyburzyłam ścianę między kuchnią a pokojem, pojawił się kominek, dobudowałam taras, pokój gościnny. W holu stało pianino. Tam powstało najwięcej moich kompozycji. Kochałam ten dom, ale kiedy mama zmarła, a Filip się wyprowadził, oboje „mówili” do mnie z każdego kąta, nie byłam w stanie normalnie tam funkcjonować. Żyłam przeszłością. Kupiłam mieszkanie w Wilanowie z widokiem na Świątynię Opatrzności, ale po kilku latach zatęskniłam za ogrodem. Kiedy zobaczyłam dom, w którym mieszkam od trzech miesięcy...

– ...poczuła Pani, że to jest to?

Tak! Jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Nie chcę iść spać (śmiech). Siadam w kuchni, która jest również salonem, zaparzam herbatę, mam swoją trawę, gdzie mogę zanurzyć bosc stopy. Mój syn przyjechał i powiedział: „Mamo, gratuluję, stworzyłaś przepiękny dom”. Na to czekałam. To jest najważniejsze. Obiecałam sobie: W tym domu na pewno dokończę pisać moją książkę.

– Ą propos snu... Stanisław Dygat napisał: „Nonsensem i antysenną dywersją jest puszczanie Haliny Frąckowiak na dobranoc, bo któż zaśnie, słuchając jej niezwykłego głosu”. Sześćdziesiąt lat na scenie, dzień urodzin i proste pytanie: Co w życiu jest najważniejsze?

Muzyka była dla mnie ważna od urodzenia, ale mój syn Filip zawsze był moim celem. Posłużę

się ulubionym powiedzeniem: „Wszystko w życiu jest przez odejowanie”. Starzejemy się, odchodzimy, nieustannie coś lub kogoś tracimy, kwiaty kwitną i więdną, po wiośnie zawsze jest zima, ale jedno jest przez dodawanie. Miłość. Z miłości jesteśmy stworzeni, człowiek jest tyle wart, ile miłości da drugiemu człowiekowi. Miłość to największa siła. Jeśli jest prawdziwa, nigdy nie minie, bez względu na to, co się wydarzy. Zbieram tę miłość przez całe życie i jestem bardzo szczęśliwa, bo się nią napępniam. Wtedy mam czym żyć.

Rozmawiała BEATA NOWICKA
Zdjęcia KRZYSZTOF OPALIŃSKI
Makijaż ANNA KAATZ-DRZYMAŁA
Fryzury PAWEŁ BRZOZOWSKI
Stylizacja PAWEŁ MARCZEWSKI
Produkcja PAULINA ALEKSIEJUK-LEWANDOWSKA

„Jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Nie chcę iść spać (śmiech). Siadam w kuchni, zaparzam herbatę, mam swoją trawę, gdzie mogę zanurzyć bosc stopy. Mój syn przyjechał i powiedział: »Mamo, gratuluję, stworzyłaś przepiękny dom«”.

